

STEPHEN KING

JAKO RICHARD BACHMAN

OSTATNI BASTION
BARTA DAWESA



Ale Wietnam się skończył, a życie w kraju toczyło się dalej. Tego upalnego sierpniowego popołudnia 1972 roku na końcu autostrady 784 stanęła furgonetka stacji telewizyjnej WHLM. Niewielki tłumek zbił się wokół małego, naprędce skleconego podium; pokrywający go materiał był jak cienka skóra na szkielecie nagich desek. Za nim, na szczycie porośniętego trawą nasypu, stały budki przy wjeździe na płatną autostradę. Dalej, aż do peryferii miasta, rozciągał się pusty bagnisty teren.

Młody dziennikarz Dave Albert robił sondę uliczną, skracając sobie i kolegom czas oczekiwania na burmistrza i gubernatora, mających wkrótce przybyć na uroczystość.

Podsunał mikrofon starszemu panu w okularach z przyciemnianymi szklami.

– Więc... – zaczął mężczyzna, zerkając lękliwie w obiektyw
– ...to się przyda miastu. Już dawno należało to zrobić. To...

się bardzo przyda. – Przełknął ślinę, zdając sobie sprawę, że jego umysł nadaje echo samego siebie, lecz nie mogąc się zatrzymać, zahipnotyzowany przeszywającym spojrzeniem cyklopowego oka potomności. – Bardzo – dodał słabo.

– Dziękujemy.

– Pokażecie mnie? W wiadomościach?

Albert przywołał na twarz profesjonalny uśmiech, który nic nie znaczył.

– Trudno powiedzieć. Niewykluczone.

Dźwiękowiec wskazał na zakręt przy wjeździe na autostradę, zza którego właśnie wyłonił się chrysler gubernatora, lśniący i migotliwy jak chromowany pocisk w blasku letniego słońca. Albert skinął głową i uniósł palec. Wraz z dźwiękowcem podszedł do człowieka w białej koszuli z podwiniętymi rękawami. Facet chmurnie przyglądał się podium.

– Czy zechciałby pan wyrazić swoją opinię, panie...

– Dawes. Zechciałbym. – Miał niski, przyjemny głos.

– Gazu – mruknął kamerzysta.

Mężczyzna w białej koszuli dodał równie przyjemnie:

– Według mnie to zwyczajne gówno.

Operator skrzywił się, a Albert pokiwał głową potępiająco. Dwoma palcami prawej ręki zrobił gest cięcia. Starszy pan przyglądał się tej scenie z autentyczną zgrozą. Ponad nimi, przy budkach opłat, gubernator wyłonił się z chryslera. Jego zielony krawat załśnił w słońcu.

Mężczyzna w białej koszuli spytał uprzejmie:

– Puścicie to w dzienniku o szóstej czy o jedenastej?

– Ho, ho, bracie, aleś zgrywny – mruknął kwaśno Albert i ruszył, by złapać gubernatora. Kamerzysta podążył za nim.

Mężczyzna w białej koszuli patrzył na gubernatora ostrożnie schodzącego po trawiastym zboczu.

Siedemnaście miesięcy później Albert i mężczyzna w białej koszuli spotkali się ponownie, ale ponieważ żaden z nich nie pamiętał, że już się znają, równie dobrze mogło to być ich pierwsze spotkanie.

20 listopada 1973

Robił to, co robił, i nie pozwalał sobie na myślenie. Tak było bezpieczniej. Zupełnie jakby miał w głowie wyłącznik, pstrykający za każdym razem, gdy pojawiało się pytanie: ale po co to robisz? Wtedy w jakimś zakątku jego mózgu gasło światło. Hej, George, kto zgasił światło? Ups, chyba ja. Coś się przepaliło. Zaraz, chwileczkę. Popstrykać włącznikiem... Jest. Ale myśl się ulotniła. Wszystko gra. No to do rzeczy, Freddy – gdzie to byliśmy?

. . .

W drodze na przystanek autobusowy zobaczył ogłoszenie:

AMUNICJA SKLEP HARVEYA AMUNICJA
Remington Winchester Colt Smith & Wesson
ZAPRASZAMY MYŚLIWYCH

Z szarego nieba prószył drobny śnieg, pierwszy tego roku; płatki lądowały na chodniku jak białe placki sody oczyszczonej

i zaraz się topiły. Zobaczył małego chłopca w czerwonej włóczkowej czapce, który szedł z otwartymi ustami i wysuniętym językiem, żeby złapać płatek śniegu. To wszystko zaraz stopnieje, Freddy, pomyślał, ale dzieciak i tak szedł z głową zadartą w górę.

Zatrzymał się przed sklepem Harveya. Przed drzwiami na chodniku sterczał stojak z wydaniem popołudniówek. Nagłówek głosił:

CHWILOWE ZAWIESZENIE BRONI
NADAL OBOWIĄZUJE

Poniżej na stojaku widniał rozmazany biały napis:

PROSZĘ ZAPŁACIĆ ZA GAZETĘ!
WŁAŚCICIEL DOSTAJE JE ODPLATNIE

W środku panowało przyjemne ciepło. Sklep był długi, ale niezbyt szeroki. Tylko dwa rzędy półek. Po lewej stronie stała szklana gablotka z pudełkami amunicji. Natychmiast rozpoznał naboje kalibru .22, ponieważ w dzieciństwie, jeszcze w Connecticut, miał jednostrzałową strzelbę, właśnie dwudziestkędwójkę. Marzył o niej przez trzy lata, a kiedy ją dostał, nie potrafił znaleźć dla niej zastosowania. Przez jakiś czas strzelał do puszek, potem zabił sójkę. Nie miała łatwej śmierci. Siedziała w śniegu, w samym środku plamy różowawej czerwieni, powoli otwierając i zamykając dziób. Po tej sójce powiesił strzelbę na haku i zostawił ją tam na trzy lata, aż wreszcie sprzedał ją chłopakowi z tej samej ulicy za dziewięć

dolarów i pudełko książeczek z dowcipami.

Inne naboje nie kojarzyły mu się z niczym. Trzydzieści trzy, trzydzieści sześć i takie, które wyglądały jak pociski do haubicy. Na co to, zdziwił się. Na tygrysy? Dinozaury? Zafascynowały go, zamknięte w szklanej gablocie jak landrynki z automatu.

Sprzedawca lub właściciel rozmawiał z grubym gościem w zielonych spodniach i zielonej wojskowej koszuli. Koszula miała kieszenie z patkami. Rozmawiali o rozłożonym na części pistolecie, leżącym w innej szklanej gablocie. Gruby odciągnął kciukiem zamek i razem zajrzeli do naoliwionej komory. Gruby powiedział coś, na co sprzedawca lub właściciel się roześmiał.

– Automatyczne zawsze się zacinają? Mac, ojciec ci to wmówił, przyznaj się.

– Harry, bracie, łżesz jak pies.

Łżesz, Fred, pomyślał. Jak pies. Wiesz o tym?

Fred powiedział, że wie.

Szklana gablota po prawej stronie biegła przez cały sklep. Wisiało w niej mnóstwo strzelb. Potrafił rozpoznać dubeltówki, ale reszta była dla niego czarną magią. A jednak niektórzy – na przykład ci przy ladzie – opanowali ten temat tak, jak on opanował księgowość na studiach.

Zrobił parę kroków w głąb sklepu i zajrzał do gablotki z pistoletami. Zobaczył kilka pneumatycznych, kilka dwudziestekdwójek, trzydziestkęósemkę z drewnianą kolbą, czterdziestkępiątkę i broń, w której rozpoznał magnum .44, takie samo jak to, które miał na filmie Brudny Harry. Słyszał, jak Ron Stone i Vinnie Mason rozmawiali w pralni o tym

filmie i Vinnie powiedział: nikt by nie pozwolił gliniarzowi nosić takiego gnata w mieście. Czymś takim można zrobić dziurę w człowieku z odległości kilometra.

Gruby facet, Mac, i sprzedawca lub właściciel, Harry (jak Brudny Harry), złożyli broń.

– Przedzwoń do mnie, jak dostaniesz tego menschlera – poprosił Mac.

– Dobrze... Ale to uprzedzenie do automatów jest irracjonalne – odparł Harry. (To musiał być właściciel sklepu – zwykły sprzedawca nigdy by nie powiedział klientowi, że zachowuje się irracjonalnie). – Musisz mieć tę cibrę na przyszły tydzień?

– Chciałbym.

– Niczego nie obiecuję.

– Jak zwykle... ale jesteś najlepszym, kurna, rusznikarzem w mieście i dobrze o tym wiesz.

– No pewnie.

Mac poklepał broń w szklanej gablocie i odwrócił się. Idąc do drzwi, potrącił go – *Uważaj, Mac. Lepiej się do mnie uśmiechnij.* Pod pachą trzymał gazetę, można było przeczytać:

OWE ZAWIE

Harry odwrócił się do niego z uśmiechem, kręcąc głową.

– Czy mogę pomóc?

– Mam nadzieję. Ale ostrzegam, zupełnie nie znam się na broni.

Harry wzruszył ramionami.

– A kto powiedział, że ma się pan znać? Pan czy ktokolwiek?

Chodzi o prezent na Gwiazdkę?

– Tak, właśnie – podchwycił, zadowolony z okazji. – Mam kuzyna, Nicka, tak się nazywa. Nick Adams. Mieszka w Michigan i ma hopla na punkcie broni. Wie pan, uwielbia polować, ale nie chodzi tylko o polowanie, to coś więcej. To jakby... jakby...

– Hobby? – podsunął Harry z uśmiechem.

– Tak, właśnie. – Chciał powiedzieć „fetyusz”. Zerknął na kasę, na której widniała staruteńka naklejka:

JEŚLI BROŃ JEST PRZESTĘPSTWEM,
TYLKO PRZESTĘPCY BĘDĄ NOSIĆ BROŃ.

Uśmiechnął się do Harry’ego.

– Święte słowa.

– No pewnie. A ten pański kuzyn...

– A mój kuzyn lubi to, co najlepsze. Wie, że uwielbiam łódki, i niech mnie diabli, w zeszłym roku na Gwiazdkę dał mi silnik Evinrude, sześćdziesiąt koni! Wysłał go ekspresem. A ja mu podarowałem kurtkę myśliwską. Czułem się jak debil.

Harry pokiwał głową ze współczuciem.

– Jakiś miesiąc temu dostałem od niego list. Chłopak był szczęśliwy jak dziecko, co dostało za darmo bilet do cyrku. Razem z sześcioma kumplami zrobili zrzutkę i wybrali się gdzieś do Meksyku, tam, gdzie wolno strzelać...

– Do rezerwatu łowieckiego?

– Aha, chyba. – Zachichotał cicho. – Można strzelać, ile wlezie. Mają tam zwierzyńca do diabła i trochę. Jelenie, antylopy, niedźwiedzie, bizona... Wszystko.

– Czy to czasem nie Boca Rio?

– Nie pamiętam. Chyba miało jakąś dłuższą nazwę.

Oczy Harry’ego zasnuły się mgiełką rozmarzenia.

– W sześćdziesiątym piątym razem z tym gościem, co właśnie wyszedł, pojechaliśmy do Boca Rio. Trafiłem zebłą! Zebłą, słowo daję! Powiesiłem jej łeb w domu w salonie. To była najpiękniejsza chwila mojego życia. Bardzo zazdroszczę pańskiemu kuzynowi.

– Pogadałem z żoną i powiedziała, że mogę to zrobić. Mieliśmy naprawdę dobry rok. Pracuję w pralni Blue Ribbon w Western.

– Tak, wiem, gdzie to jest.

Mógłby gadać z Harrym przez cały dzień, do końca roku, splatając prawdę i kłamstwo w jedną piękną tkaninę. Niech życie toczy się obok. Chromolić kryzys paliwowy, wysokie ceny wołowiny i chwilowe zawieszenie broni, będą rozmawiać o kuzynie, który nie istnieje i nigdy nie istniał. Nie, Fred? No jak nie, jak tak, Georgie.

– W tym roku podpisaliśmy umowę ze szpitalem ogólnym i z psychiatrykiem. A! I z tymi trzema nowymi motelami.

– Ten na Franklin Avenue też obsługujecie?

– Tak.

– Nocowałem tam parę razy. Pościel zawsze była bardzo czysta. Śmieszne, nigdy się nie zastanawiamy, kto pierze pościel w hotelach.

– No, czyli mieliśmy dobry rok. Więc pomyślałem, może kupię Nickowi strzelbę i pistolet. Zawsze marzył o magnum .44. Słyszałem, jak o tym mówił...

Harry wyjął magnum i położył je ostrożnie na szklanej

gablocie. Wziął je do ręki. Było przyjemnie ciężkie. Solidne.

Odłożył je na gablotę.

– Komora... – zaczął Harry.

Roześmiał się i uniósł rękę.

– Nie musi mnie pan namawiać, sam się namówiłem. Ignoranta nie trzeba przekonywać. Ile amunicji mam do tego kupić?

Harry wzruszył ramionami.

– Dziesięć pudełek. Zawsze może sobie dokupić. Ta sztuka kosztuje dwieście osiemdziesiąt dziewięć plus VAT, ale sprzedam panu za dwieście osiemdziesiąt i dorzucę naboje za darmo. Co pan na to?

– Super – powiedział ucieszony z całego serca. A potem dodał, ponieważ wydawało mu się, że tak trzeba: – Piękna sztuka.

– Jeśli się jedzie do Boca Rio, coś takiego bardzo się przyda.

– A teraz strzelba...

– Co ma ten pański kuzyn?

Wzruszył ramionami i rozłożył ręce.

– Przykro mi, naprawdę nie wiem. Dwa, trzy pistolety i coś, co jest podobno samopowtarzalne...

– Remington? – Pytanie padło tak szybko, że aż się przestraszył; tak jakby brodził w wodzie po pas i nagle grunt osunął mu się spod nóg.

– Możliwe. Mogę się mylić.

– Remington robi najlepsze – powiedział Harry i pokiwał głową, zsyłając na niego tym samym błogi spokój. – Ile chce pan wydać?

– Będę szczerzy. Ten silnik kosztował go ze cztery setki. Ja

chcę wydać co najmniej pięć. Ewentualnie sześć.

– Lubicie się, co?

– Razem dorastaliśmy – wyznał szczerze. – Oddałbym mu chyba prawą rękę, gdyby jej potrzebował.

– Coś panu pokażę. – Harry wybrał z pęku kluczy na kółku jeden i podszedł do oszklonej gabloty. Otworzył ją, wspiął się na stołek i zdjął długą, ciężką strzelbę z inkrustowaną kolbą.

– Kosztuje trochę więcej, niż chce pan dać, ale to rarytas. – Podał mu ją.

– Co to takiego?

– Weatherbee czterysta sześćdziesiąt. Strzela amunicją większego kalibru niż wszystko, co tu mam. Gdyby pan chciał zamówić naboje, musiałbym je sprowadzić z Chicago. To potrwa z tydzień. Jest idealnie wyważona. Ten drobiazg wali z impetem ponad czterystu kilo... to jakby kogoś uderzyć limuzyną. Jeśli strzeli pan z tego jeleniowi w głowę, nie zostanie z niego nawet ogonek na pamiątkę.

– No, nie wiem... – powiedział z powątpiewaniem, choć już postanowił, że ją weźmie. – Nick chciałby mieć trofeum. To także zabawa...

– No pewnie – przyświadczył Harry, ujmując weatherbee.

– Nie jedzie się do Boca Rio po mięso. Więc pański kuzyn poluje? Z tym maleństwem nie będzie się godzinami włóczyć za cholernym bydlęciem po wertepach i bezdrożach. Jeden strzał i flaki rozbryzną się w promieniu pół kilometra.

– Ile za to?

– No, powiem w ten sposób: nie mogę tego upłynnić w mieście. Kto chce mieć takie, cholera, działo przeciwlotnicze tu, gdzie od czasu do czasu trafia się najwyżej bażant? A gdyby

się go podało do stołu, smakowałby jak wędzony w spalinach. W sprzedaży detalicznej kosztuje to dziewięćset pięćdziesiąt, w hurcie sześćset trzydzieści. Ja podaruję je panu za siedemset.

– Czyli razem... prawie tysiąc?

– Za zakup powyżej trzystu dolarów dajemy dziesięć procent zniżki. Czyli dziewięćset. – Wzruszył ramionami. – Daj pan tę broń kuzynowi, gwarantuję, że takiej nie ma. Jeśli ma, odkupię od pana za siedemset pięćdziesiąt. Dam to panu na piśmie, taki jestem pewien swego.

– Poważnie?

– Absolutnie. Absolutnie. Oczywiście, jeśli za drogo, no to za drogo. Możemy spojrzeć na coś innego. Ale jeśli kuzyn ma prawdziwego hopla, nie mam tu niczego, czego pewnie już sobie nie kupił.

– Rozumiem. – Zrobił zamyśloną minę. – Ma pan telefon?

– Jasne, na zapleczu. Chce się pan poradzić żony?

– Tak będzie lepiej.

– Jasne. Proszę za mną.

Harry zaprowadził go na zagracone zaplecze. Ławka i porysowany drewniany stół były zawałone wnętrzościami pistoletów, sprężynami, płynem do czyszczenia, ulotkami i buteleczkami z kawałkami ołowiu.

– Telefon jest tam – pokazał Harry.

Usiadł, wziął aparat i wykręcił numer. Harry wrócił po magnum, które włożył do pudełka.

– Dziękujemy za wybranie usług informacji meteorologicznej WDST – rozległ się w słuchawce radosny, mechaniczny głos. – Popołudniowe zadymki przejdą wieczorem w lekkie opady śniegu...

– Mary? Cześć – powiedział. – Słuchaj, no więc jestem w tym sklepie. Tak, dla Nicka. Mam ten pistolet, wiesz, bez problemu. Był akurat taki, jak rozmawialiśmy. Potem ten pan pokazał mi strzelbę...

– ...przewidywane roz pogodzenie. Temperatura spadnie dziś do minus piętnastu, jutro od minus piętnastu do minus dwudziestu stopni. Możliwe opady...

– Więc co sądzisz? – Harry stał w drzwiach za jego plecami, widać było jego cień.

– Aha – powiedział. – Wiem.

– Dziękujemy za wybranie usług informacji meteorologicznej WDST. Zapraszamy do oglądania wiadomości z Bobem Reynoldsem; codziennie o szóstej po południu aktualna prognoza pogody. Do widzenia.

– Nie, nie żartujesz. Tak, to bardzo drogo.

– Dziękujemy za wybranie usług informacji meteorologicznej WDST. Popołudniowe zadymki przejdą wieczorem...

– Ale na pewno, skarbie?

– ...przewidywane roz pogodzenie. Temperatura...

– No, to dobrze. – Odwrócił się, uśmiechnął do Harry'ego i zrobił kółeczko z palca wskazującego i kciuka. – To bardzo miły gość. Dał mi gwarancję, że Nick nie ma takiej.

– Możliwe opady...

– A ja ciebie, Mare. Pa. – Odłożył słuchawkę. Jezu, Freddy, to było niezłe. No masz, George, no masz.

Wstał.

– Powiedziała, że mam wolną rękę. No więc: tak.

Harry uśmiechnął się.

– Co pan robi, jak kuzyn przyśle panu thunderbirda?

Odpowiedział uśmiechem.

– Odeślę nierozpakowanego.

W drodze do kasy Harry spytał:

– Czek czy gotówka?

– American Express, jeśli można.

– Można, można.

Podał mu kartę. Na jej odwrocie, na specjalnym pasku, widniał podpis:

BARTON GEORGE DAWES

– A te naboje na pewno przyjdą na czas, żebym mógł wszystko wysłać Fredowi?

Harry podniósł głowę znad rachunku.

– Fredowi?

Uśmiechnął się szerzej.

– Nick to Fred, a Fred to Nick. Nicholas Frederic Adams. To taki żart z tym imieniem. Jeszcze z dzieciństwa.

– O. – Harry uśmiechnął się grzecznie, jak ktoś, kto usłyszał kiepski dowcip. – Pan tu podpisze.

Podpisał.

Harry wyjął spod lady ciężką księgę ze stalowym łańcuchem przeciągniętym przez górny lewy róg, blisko grzbietu.

– Poproszę o nazwisko i adres dla policji.

Poczuł, że palce zaciskają się mu na długopisie.

– Jasne. Tylko patrzcie, pierwszy raz w życiu kupuję broń i już jestem wariatem. – Zapisał w księdze nazwisko i adres.

- Czepiają się wszystkiego – powiedział.
- Nie z własnej woli.
- Tak. Wie pan, co powiedzieli wczoraj w dzienniku? Chcą wprowadzić obowiązek noszenia ochraniacza na usta dla motocyklistów. Ochraniacz na usta! To rząd już nie ma innych zmartwień, tylko zęby gości na motocyklach?
- Dziwne, dziwne – zgodził się Harry, chowając księgę pod ładę.
- Albo ten nowy kawałek autostrady, który budują w Western. Przychodzi jakiś smarkacz, mówi: „Puścimy ją tędy”, a potem człowiek dostaje pismo: „Bardzo przepraszamy, ale tu, gdzie mieszkacie, będzie biegła autostrada 784. Macie rok na znalezienie nowego domu”.
- Skandal.
- Właśnie. Co znaczy prawo do wywłaszczenia, jeśli człowiek mieszkał w tym cholernym domu od dwudziestu lat? Kochał się w nim z żoną, wychowywał w nim dzieci, wracał do niego z wycieczek? Prawnicy to wymyślili specjalnie po to, żeby nas mogli lepiej załatwić.
- Uważaj, uważaj. Wyłącznik zadziałał z opóźnieniem, trochę mu się wyspnęło.
- Wszystko w porządku? – spytał Harry.
- Aha. Zjadłem na obiad zapiekankę. Chyba zgłupiałem. Przecież zawsze mam po nich cholerne gazy.
- Pan się poczęstuje – powiedział Harry i wyjął z kieszeni na piersiach rolkę pastylek. Na etykiecie widniało:

GASTRYNKI

– Dziękuję. – Wyjął jedną z wierzchu i włożył do ust, nie zwracając uwagi na strzępek papieru, który się do niej przylepił. Patrzcie, jestem w reklamie. Ta znakomita pastylka pochłania kwas żołądkowy o czterdziestosiedmiokrotnie większej objętości w stosunku do swojej wagi.

– Mnie to pomaga – dodał Harry.

– A te naboje...

– Tak. Za tydzień. Najdłużej dwa. Sprowadzę siedemdziesiąt.

– Może pan przechować tę broń? Niech ją pan oznaczy moim nazwiskiem albo jakoś inaczej. Może to głupie, ale nie chcę tego trzymać w domu. Głupio, nie?

– Każdy lubi co innego – zauważył Harry roztropnie.

– Aha. Podam panu numer do mojej pracy. Kiedy dostanie pan te kule...

– Pociski – przerwał Harry. – Pociski lub naboje.

– Pociski – zgodził się z uśmiechem. – Jak je pan dostanie, niech pan do mnie przedzwoni. Odbiorę broń i zajmę się wysyłką. Czy broń można wysłać pocztą kurierską?

– Jasne. Pański kuzyn będzie tylko musiał pokwitować, i tyle.

Napisał swoje nazwisko na wizytówce Harry'ego. Widniało na niej:

Harold Swinnerton

849-6330

SKLEP HARVEYA

Amunicja

Broń zabytkowa